

# Premiera w Operetce. Jak się nie ma, co się lubi...

Dawno nie widziałam w teatrze realizacji tak niespójnej i pozbawionej przewodniej myśli reżyserskiej.

„Wielka księżna Gerolstein” to kolejna, po „Cyranie”, rozczarowująca przedstawienie Teatru Muzycznego.

**IZABELLA ADAMCZEWSKA**

„Armia to wielka farsa” - mówi Fryc, bardzo daleki kuzyn Szwejka, który najpierw musi wykonywać idiotyczne rozkazy i pełnić wartę, „żeby nikt nie ukradł kawałka polany”, a potem z miłosnego mianowania znienacka zostaje generałem. W operetce Jacques’a Offenbacha żołnierze to cymbały i opoje, a wymyślone przez nich tajne hasło brzmi „masło”. Ha, ha. Może to i było śmieszne, ale w czasie powstania operetki, a zwłaszcza dla odczytujących aluzje polityczne. Co dziś zostało z „Wielkiej księżnej” oprócz muzyki? Niewiele. Może warto było pozostawić dzieło w kanonie encyklopedycznym i nie męczyć widza? Ale jeśli tytuł został wybrany, należało podjąć rękawicę i albo zrealizować „Wiel-



Dziwaczne zagospodarowanie sceny nijak się ma do kostiumów

ką księżną” na poważnie, jako szacowaną pozycję z kanonu, albo wywrócić ją do góry nogami. Realizatorzy widowiska Teatru Muzycznego zatrzymali się, niestety, w pół drogi. Nie pomaga ani

wjeżdżająca z księżną mównica na kółkach, ani pióro wielkości długopisu z Matką Boską Wałęsy. Niby żartuje się trochę z Offenbacha, ale kankan naprawdę ma porwać publiczność.

Scenografia (Grzegorz Małecki) jest po prostu okropna. W dodatku przeszkadza aktorom. Metalowa konstrukcja mająca przynosić wojskowe konotacje ogranicza możliwości poruszania się po scenie. Antywojenne graffiti w tle wygląda jak namazane w kwadrans. Dziwaczne zagospodarowanie sceny nijak się ma do kostiumów (Zuzanna Markiewicz), które są wariacją na temat stroju historycznego, jakby styl Barbary Ptak skrzyżowano z inspiracją onirycznymi klimatami z Alicji w Krainie Czarów (czemu księżna ma na głowie kapelusik z tarczą zegara, pewnie chodzi o to, że latka leca?). Kiczowate to okrutnie, ale drugi akt potwierdza przypuszczenie, że tak po prostu miało być. Wnętrze pałacu zarysowane jest nader umownie i nie brak mrugnięcia do widza, że oto kpimy sobie z konwencji operetki: jedna ze stylowych kolumni ucięta została w połowie, a obraz przodka unosi się na sznurku ze zgrzytem, by odsłonić tajemne przejście. Dodajmy do tego wściekle zielone tło - oczy boją.

Na szczęście uszy nie. Dla młodej dyrygentki Muzycznego, Elżbiety Tomali-Nocuń, premierowe prowadzenie orkiestry było jednocześnie egzaminem doktorskim; na widowni zasiadła komisja. Tomala-Nocuń była świetnie przygotowana i jestem

pewna, że zdała. Pochwała należy się również solistom. I wokalnie, i aktorsko, zdominowali scenę Karol Lizak jako Fryc oraz Paweł Erdman jako generał Bum, z mocnym głosem o ładnej barwie. W tytułowej roli księżnej, którą „kręcą wojacy”, wystąpiła Agnieszka Gabrysiak, głosowo jakby miejscami zbyt delikatna.

Debiutujący w roli reżysera operetki Piotr Bikont chwilami chyba nie wiedział do końca, co zrobić z aktorami i rekwizytami. Najbardziej eksploatowanym rekwizytem była przekazywana z rąk do rąk beczka, na której co najwyżej można było postawić stopę, bo i tak wszyscy popijali z butelek.

„Jeżeli nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma” - mówi w finale księżna, kiedy zamiast krzepkiego szeregowego trafia jej się ryży papkinowski książę. To samo mogliby stwierdzić widzowie Teatru Muzycznego. Ubiegłoroczna premiera - „Cyrano” - rozczarowała, ale przynajmniej napisano do niej specjalnie muzykę. „Wielkiej księżnej” nie ratuje nawet określanie tej realizacji jako polskiej prapremiery oryginalnego dzieła Offenbacha. Skoro na chłopską logikę Fryca „wszystko raz jest lepsze, raz gorsze”, pozostaje mieć nadzieję, że „Nędznicy” w przyszłym sezonie wynagrodzą nam ostatnie porażki. ●